



WSTĘPNIAK (NIE)TYPOWO WAKACYJNY

Tegoroczne wakacje zaskoczyły nas wyjątkowo. Nie, nie pogodą (na Wybrzeżu była fatalna!) – tylko nagłością i pilnością rozmaitych spraw i terminów.

Nie mogliśmy usiąść w początkach lipca nad kolegium redakcyjnym czerwcowca, gdyż zbyt wiele było jeszcze roboty (także wydawniczej) związanej z Teleportem. Potem sam Teleport i rozliczanie go; następnie różne inne wakacyjne sprawy (m.in. Cerkiwnik)... i cały miesiąc przeleciał jak z bicia trzask!

Siadamy przeto z początkiem sierpnia na dubeltowym kolegium: składamy oba numery naraz (nawet przez chwilę był pomysł, by numer wakacyjny był podwójny – ale odeń odstąpiliśmy). Tak więc wszystko wskazuje na to, że czerwcowiec i lipcowiec trafią do Waszych rąk jednocześnie.

Wybaczcie nam ten, noż... A my życzymy Wam podwójnie intere



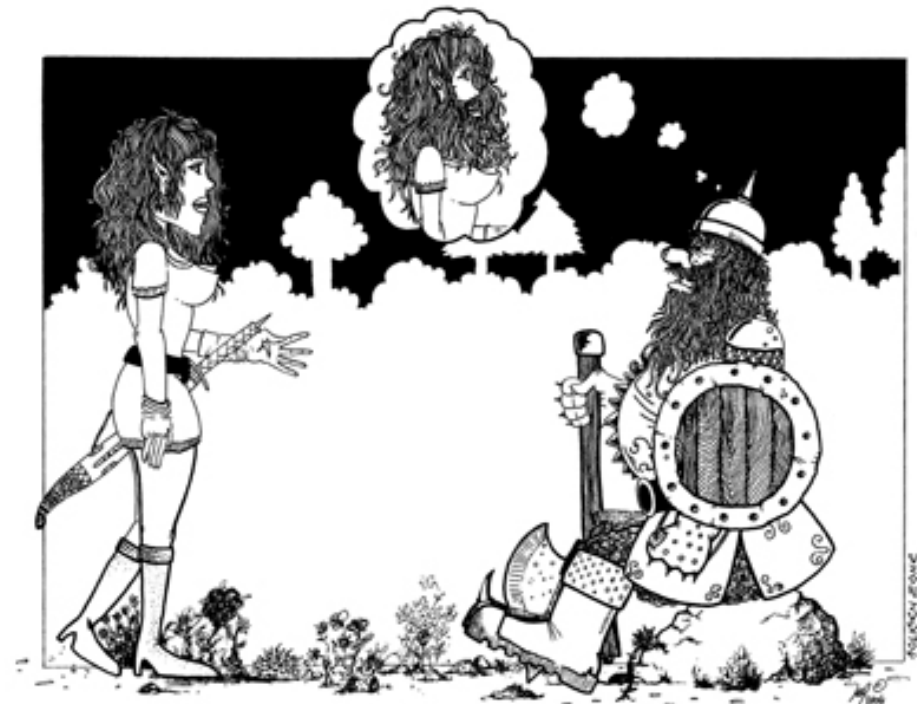
URODZINY

Wrześniowi Jubilaci!

Życzymy Wam szalonej końcówki lata
z elfem(-ficzką), krasnoludem(-dzicą),
a nawet z orkiem(-czycą) – co kto woli...

Redakcja "Informatora"

- | | |
|--------------------------------|-------------------------------|
| 1 Mariusz Rostankowski | 16 Anna Martuszevska |
| 4 Marek Falkowski | 20 Michał Borwański |
| 5 Piotr Adrian | 21 Maciej Bulanda |
| 6 Paweł Lewandowski | 27 Robert Jaliński |
| 10 Piotr Sierociński | 28 Magdalena Wiczyńska |
| 12 Grzegorz Szczepaniak | 29 Mariusz Kanabrodzki |
| 13 Dominik Gaworczyk | Janusz Piszczek |



Trujfikcje

W dniach 28-29 sierpnia odbędzie się w Gdyni konwent fantastyki, organizowany przez gdyńskie kluby Acheron i Collaps oraz sklep z grami i figurkami Futurex. Impreza odbędzie się w domu kultury „YMCA” w Gdyni, przy ul. Żeromskiego 26. W programie m. in.: turniej Warhammer 40.000 (1600p), Warhammer Fantasy Battle (1000p lub więcej), Magic (Extendend), rozgrywki na konsolach, dział dla fanów mangi i anime – filmy i karaoke; prelekcje z fantastyki oraz pogranicza nauki i parapsychologii, pokazy tańców celtyckich i walk rycerskich, dział RPG oraz LARP. Cena biletu dwudniowego wynosi 5 zł.

Noclegi na terenie imprezy są darmowe (konieczne śpiwory i karimaty). Jest możliwość zakwaterowania w Domu Studenckim, przy ul. Sędzickiego 19, tel. 620-27-23. Rezerwację należy składać dokonać jak najszybciej. Ceny pokojów – od 25 zł za dobę.

Telefon kontaktowy do organizatora konwentu: 608-854-530.

Dariusz Perszewski

RELACJA Z KONWENTU



INSTRUKCJA OBSŁUGI

1. Włożyć maskę pgaz.
2. Zwilżyć zaznaczony obszar olejem napędowym (bez biokomponentów!).
3. Podgrzać zaznaczony obszar do temperatury 450° F.
4. Przygotować mikroskop elektronowy.
5. Wypić 2 piwa "Wigry" i jedną "Łamzę".
6. Przypiąć się pasami do fotela.
7. Chuchnąć na zaznaczony obszar i zgasić światło.
8. Czytać pojawiający się tekst.

UWAGA: Redakcja nie ponosi żadnej odpowiedzialności!

Świeża Krew*

czyli z pamiętnika ogniomistrza

*Bo ja, mówię, jestem z lasu,
bo ja, mówię, jestem z lasu, i już!*

Dawno już nie byłem tak zapracowany, jak w ciągu ostatniego roku. Zwłaszcza po Teleporcie myśl o wykonaniu jakiegokolwiek poważniejszej roboty wywoływała u mnie odruch alergiczny. Tym chętniej więc skorzystałem z zaproszenia na osiemnasty Piknik na Skraju Drogi, odbywający się tradycyjnie w Cerkiewniku.

Wybrałem się nań z Anią i Papierem. Podróż samochodem była w miarę krótka i spokojna, chociaż jazda drogą na Ornetę była przedsięwzięciem nieco ryzykownym (na szczęście wielkie dziury były tylko pół metra od pobocza, środkiem dało się jechać). Przyjechaliśmy i szybko – z pomocą innych – ustawiliśmy namioty.

Miejsce jest bardzo przyjemne – lesiste wzgórze położone w wąskim przesmyku między dwoma jeziorami, Wielką i Małą Puplą. Wieloletnie robótki ręczne dowodzone przez Papiera doprowadziły do niezłego zagospodarowania terenu: w stodole czekała słynna Sławojka – którą oczywiście nosiłem z innymi; przy skarpie znajduje się palenisko otoczone ławkami, a obok kamienny grill; wędkarze i inni pływają na dwóch tratwach (drugą Papier wykonał w tym roku); była też prawdziwa sauna w namiocie, „napędzana” kamieniami wydobywanymi z ogniska. Jest też parę wygodnych stołów. Nie było tylko radia i telewizorów, których przywożenie zostało kategorycznie zabronione. I dobrze – co jakiś czas dobrze jest odizolować się od świata ze znajomymi i przyjaciółmi.

A propos tych ostatnich – zjawiała się cała rzesza fandomowych Krewnych i Znajomych Królika: Boguś (później zastąpiony przez Irenę) z Bartkiem, Kormoran, obaj Olczakowie, Harcerz, Marek i Jarek Sokółscy, Kynes i Dori Kacperakowie, częstochowska neofitka Ashka, Foka z Żabą, Bice, wieszcz EuGeniusz, Maciek Bałasz, Marek Michowski, Fremeni, Anakonda i wielu, wielu innych... Niewymieni niech nie czują się urażeni, za duża to kupa luda. Była też spora grupka małych i całkiem dużych (oj, czasem bardzo!) dzieci.

Każdy z uczestników miał przydzielone jakieś zadanie; dzięki temu właśnie śmieszny jest koszt biwaku. Mnie Rada Frajerów nadała zaszczytne miano ogniomistrza – razem z niejakim Januszem podtrzymałem Wieczny Ogień, tak by w ciągu dnia można było w nim palić śmieci. Przy okazji awansowałem na śmieciarza, realizując tym



samym niespełnione marzenie pewnej dobrze znanej mi osoby (wyrażone w wieku czterech lat). Na początku przejmowałem się zadaniem – później jednak Czyn Społeczny ochoczo zabrał się do pomocy, więc nie mieliśmy z Januszem zbyt wiele roboty i ograniczyliśmy się do wygrzebywania śmieciowych resztek i grzania kamieni na saunę.

Poza swoim zadaniem spędzałem czas głównie na czynności staroświecko zwanej bumelowaniem. Budziłem się koło ósmej – dziesiątej, myłem się z pół godziny (brrr!!, oczywiście wodą z jeziora – miało być naturalnie), a następnie czytałem jakąś książkę albo składałem wizyty przy stolikach. Czas schodził na pogaduszkach albo innych duperelach. Przy okazji ktoś częstował zwykle odrobiną wódki, rozcieńzonego spirytusu, piwa albo łomży, który to piwopodobny napój Bałasz przywiózł w ilości paru skrzynek. Tak, wypić to się dało, ale za efekty nikt nie odpowiadał.

Co dwa – trzy dni trzeba też było zajrzeć do dość odległej (o jakieś trzy kilometry) wsi, by zaopatrzyć się w piwo, chleb i baniak z wodą nadającą się do picia (na ogół w tej kolejności). Ja co prawda piwa nie preferuję, jednak był to artykuł zdecydowanie pierwszej potrzeby – w ciągu dwóch i pół tygodnia zebrały się całe cztery wory puszek, które podarowaliśmy dzieciom z miejscowej szkoły zbierającym na komputer.

Cerkwiennikowe eskapady odbywały się na ogół samochodami, aczkolwiek piechurzy nie byli rzadkim zjawiskiem. Przy okazji, siadając na ławce pod sklepem koło uroczego, straszliwie zarośniętego bajora, integrowaliśmy się z tubylcami i zapoznawaliśmy się z miejscowym folklorem. Razem z kilkoma osobami poznałem między innymi Ziemiaka, nazywanego również Zimniakiem, lecz nieznoszącym miana Pyra. Pojawił się też Henryk Sienkiewicz („Mówię do kierownika: »Jestem Henryk Sienkiewicz«. A on na to: »Jak pan jest Henryk Sienkiewicz, to ja jestem Adam Mickiewicz!«). Wypiliśmy razem piwo.

Czasami wybierało się też do pobliskiego Dobrego Miasta. Byłem tam raz; zabrałem się z Gosią i Łukaszem. Miejscowość jest sympatyczna, ale bardzo niewielka; mimo to udało mi się zablądzić. Zapytawszy o ulicę, na której umówiłem się po zrobieniu zakupów, zostałem skierowany dokładnie w przeciwny kraniec miasta.



Oprócz sporadycznego dostarczania zaopatrzenia zajmowaliśmy się również konkursami. Uczestniczyłem w dwóch z nich, między innymi rozwiązując bardzo wredną krzyżówkę Kormorana – i wspólnie z paroma osobami wygrałem, w nagrodę otrzymując długopis. Były m. in. konkursy astronomiczny, dla dzieci, wędkarski i całe mnóstwo innych, w większości fantastycznych.



Odbyła się też gra terenowa – zebrani mieli za zadanie odnaleźć zaginionego świętego Mikołaja. Namawiający do wzięcia udziału w misji Bartek nie był zbyt przekonujący – spontanicznie zawiązał się związek zawodowy, a wskutek niespełnienia żądań zaraz znalazła się taczka. W końcu jednak wszystko ruszyło z kopyta. Po obejści całej bliższej okolicy i pokonaniu paru niebezpieczeństw okazało się, że Mikołaj zakonspirował się w ekipie poszukiwawczej – a jest nim Lechu Olczak.

Obowiązkowo trzeba też było sobie popływać. Początkowo woda była równie zimna, jak powietrze, ale na szczęście po kilku dniach bardzo się ociepliło. Tina (dla nieorientowanych – pies Ani i Papiera) jak zwykle ratowała życie kąpiących się; ze mną też próbowała, chyba pomyliła mnie z Papierem. Przeżyła. Marek Michowski zwiedził całą Dużą Puplę w gumowym kajaku, niosząc na środku jeziora poprawki do swojego tłumaczenia. Anakonda uczyła się pływać w asyście dzielnego Bałasa. Jeśli chodzi o tratwę, trzeba było oczywiście sprawdzić, jak osoby na pokładzie wytrzymają intensywne bujanie. Co za brutalność – cudem uniknąłem uderzenia wiosłem. Ashka kąpała się w stroju prawie zupełnie topless. Zauważyłem, że przynajmniej jedna osoba bardzo lubi pływać nago.

Codziennym rytuałem była największa impreza integracyjna – ognisko. Na ogół znajdowała się chętna osoba grająca na gitarze. Zapoznałem się z obozowym hymnem „Idziemy na jagódki”. Wieszczyk EuGeniusz wyśpiewywał m. in. uroczą piosenkę o Polce („W oko cię p...dole, w ucho cię p...dole” itd.) oraz o Murzynie z takim czarnym, z takim dużym. Ela Sokólska – Dawca Życia – niezmordowanie częstowała czterdziestoprocentowym życiem, obchodząc dookoła ognisko. Sam piłem

stosunkowo niewiele (choć szatański plan Lecha Olczaka, który postanowił nauczyć mnie pić wódkę, powiódł się), co poniektórzy natomiast za kołnierz nie wylewali.

W programie przewidziano też występy artystyczne. Któregoś wieczoru Maciek Bałasz, będący w niezwykle dobrym humorze, przez pół godziny twardo stał w pozycji „sieg heil”. Następnie wykonał efektowne pódśalto w tył w celu sprawdzenia temperatury ognia. Razem z Januszem natychmiast rzuciliśmy się ratować ognisko. Następnie Maciek zademonstrował turlanie się w stronę ławki – chyba nie spodobało się fanom, bo postanowili odprowadzić go do namiotu. Nie był to jednak koniec atrakcji – początkowo artysta uparł się wejść do namiotu, forsując brezent po stronie przeciwnej od wejścia. Następnie odbył wesoły bieg po obozowisku, zakończony powaleniem na ziemię i kontuzją młodego Bica. W końcu, dawszy się namówić na nocleg, postanowił odlać się na skraju skarpy. Asysta dwóch chłopów nie wystarczyła – radośnie skoczył przed siebie na główkę. Nic mu się nie stało.

Było też kilka innych atrakcji – hucznie świętowane były osiemnastka Żyrafana oraz Srebrne Wesele Ani i Papiera. Szczęśliwa para otrzymała efektowny prezent – stylowy obraz Kamila Kacperaka, na którym efektownie umięśniony Papier trzyma nad głową miecz, a Ania z dumną miną kłęczy u jego boku.

Jeśli chodzi o saunę – nie odpuściłem sobie żadnej. Po rozgrzaniu się należało chyżo zbiec bardzo stromymi Schodami Komandorskimi (śliska pułapka zrobiona przez Papiera, na której jak zwykle wykopyrtnęło się parę osób) i wskoczyć do wody. Szok termiczny trwał tylko przez parę sekund, potem było rewelacyjnie. Patent działał zwłaszcza w zimniejsze dni, gdy nie sposób było inaczej się wykąpać.

Szkoda tylko, że jedyna sauna odbywająca się całkowicie nago zakłócona została podstępny działaniem wroga. Jakaś ciemna siła podczas sesji ukradła wszystkim majtki i ręczniki i sprytnie je ukryła. Następnie piknikowe panie ustawiły leżaki przy ścieżce, w efekcie czego odbyła się Parada Zwisów Męskich. Na szczęście sprytnie zabrałem z sobą wcześniej gacie do namiotu.

Acha, przy okazji sauny okazało się, kto z członków fandomu nie nosi majtek. Ale o tym – sza!

Można jeszcze wspomnieć o paru ciekawostkach – jedna z uczestniczek Pikniku pechowo zjechała samochodem ze skarpy, a parę dni później do rowu. Kaczor uczył paru chwytów z repertuaru Krav Magi. Bartek rzucał się wszystkim dziewczynom na szyję. Dwie osoby organoleptycznie sprawdzały na płci pięknej to, o co Papier zwykł pytać Tandi i Agatę na początku posiedzeń zarządu GKF (zainteresowani się domyślą). I tak dalej.

Ogólnie rzecz biorąc imprezę można uznać za bardzo udaną. Było przyjemnie, spokojnie i daleko od cywilizacji. Po wyjątkowo zimnych miesiącach akurat na początku Pikniku porządnie się ociepliło. Nawet kleszczyki gdzieś się pochowały – zaatakowały, o ile się nie mylę, tylko raz, poza tym czepiały się tylko łączących po chaszczach psów. Szczególnie przyjemnie było wspólnie poplotkować, popsioczyć i podyskutować o fantastycznych książkach. Terapia po męczącym roku była bardzo skuteczna – wróciłem do żywych.

Dlatego w przyszłym roku chyba znów wybiorę się na Piknik na Skraju Drogi. Chyba – bo oczywiście przyszłości nie da się dokładnie zaplanować... Spodobało mi się jednak – i coś czuję, że jeszcze się w Cerkiewniku pojawię.

Marcin Szklarski

* osoba pierwszy raz uczestnicząca w Pikniku Na Skraju Drogi.



JERRY GOLDSMITH NIE ŻYJE

Jerry Glodsmith, jeden z najlepszych najlepszych w historii kompozytorów muzyki filmowej, nie żyje.

Stworzył ścieżki dźwiękowe prawie osiemdziesięciu seriali i programów telewizyjnych oraz ponad 170 filmów – m. in. „Nagiego instynktu”, „Chinatown”, paru „Star Treków”, pierwszej i czwartej części „Obcego”. Otrzymał siedemnaście nominacji Oscara i jedną oscarową statuetkę.



MJS

PARCON 2004

W dniach 27 - 29 sierpnia w Czechach, w miejscowości Brandys nad Labem (nieopodal Pragi), odbędzie się Parcon 2004 - Międzynarodowy Konwent Miłośników Fantastyki Fandomu Czeskiego i Słowackiego. Z gości obecni będą Colin Smythe, agent T. Pratchetta, oraz Andrzej Sapkowski. Wstępnie zapowiedział się również Andrzej Pilipiuk. Oprócz spotkań z gośćmi organizatorzy przygotowali wiele atrakcji. Więcej informacji na oficjalnej stronie konwentu – pardon.ic.cz.

Ashka

POPRAWNOŚĆ POLITYCZNA TYTUŁU

Firma Lucasfilm oficjalnie potwierdziła, że tytuł kręconego właśnie trzeciego epizodu „Gwiezdných wojen” to „Zemsta Sithów”. Prasa przypomina, że również film „Powrót Jedi” miał być pierwotnie zatytułowany „Zemsta Jedi”, jednak zrezygnowano z tego ze względu na szlachetne ideały Jedi.

Premiera nowego epizodu planowana jest na 19 maja 2005 r.

MJS



ROSYJSKIE DOLARY

Rosyjski horror „Nocna straż”, oparty na książce Siergieja Łukianienki, bije u naszych wschodnich sąsiadów rekordy popularności. W ciągu pierwszych dwóch tygodni film zarobił aż 10 milionów dolarów, i to mimo że w Rosji istnieje zaledwie kilkaset sal kinowych.

MJS

BĘDZIE ÓSMY „POTTER”

J. K. Rowling, kończąca właśnie pracę nad szóstym tomem przygód czarodzieja, zapowiedziała powstanie ósmego tomu „Harry’ego Pottera”. Mają się w niej znaleźć wątki odrzucone z poprzednich książek.

Tym samym autorka złamała obietnicę – dotąd twardo obstawała przy decyzji nieprzedłużania serii. Zapowiedziała za to, że wszystkie dochody ze sprzedaży ósmego tomu przekaże na cele charytatywne. Według wydawców taka „Encyklopedia Harry’ego Pottera” może zarobić nawet 18 milionów dolarów.

39-letnia obecnie pisarka po zakończeniu pracy nad „potterowymi” książkami zamierza przejść na emeryturę. Może sobie na to pozwolić – zarobiła już ponad miliard dolarów.

MJS, film.onet.pl

RALPH FIENNES VOLDEMORTEM

Ralph Fiennes – znany m. in. z głównych ról w słynnej „Liście Schindlera”, „Dziwnych dniach” i „Angielskim pacjentem”, nagrodzonych nominacjami do Oscara – zagra rolę demonicznego czarodzieja Voldemorta w filmie „Harry Potter i Czara Ognia”, czwartej części przygód młodocianego czarodzieja.

Tym samym zdementowane zostały plotki, jakoby rolę miał zagrać Mr. Bean alias Jaś Fasola – czyli brytyjski komik Rowan Atkinson.

„Czara...” trafi na ekrany kin w listopadzie 2005 r. Reżyserem jest tym razem Mike Newell, a scenarzystą jak zwykle Steve Kloves.

MJS

FANTASTYCZNE LATO W KINACH



Na ekrany polskich kin trafiły trzy kolejne filmy fantastyczne: druga część „Shreka”, oparty na popularnym komiksie „Garfield” oraz „Król Artur”. Już wkrótce będziemy mogli obejrzeć kolejną premierę – drugą część „Spider-Mana”.

MJS

"GWIEZDNE WOJNY" W WERSJI KOMIKSOWEJ

Lucasfilm poinformował, że z okazji wejścia na ekrany trzeciego epizodu „Gwiezdných wojen” powstanie powieść graficzna.

Dark Horse Comics i artyści, którzy pracowali przy realizacji filmu zamierzają wydać publikację zatytułowaną „Star Wars: Visionaries”. Zawierać ona będzie zbiór 12 komiksowych opowiadań. Dzięki nim fani gwiazdnej sagi otrzymają niepowtarzalną okazję, aby zgłębić świat trzeciej części kultowej serii, której oficjalny tytuł brzmi „Revenge of the Sith”.

Autorami nowej książki są Robert Barnes, Ryan Church, Warren Fu, Alex Jaeger, Sang Jung Lee, Stephan Martiniere, Aaron McBride, Iain McCaig, Michael Murnane, Erik Tiemens, Derek Thompson oraz Feng Zhu, a jej wydaniem zajmie się Jeremy Barlow.

„Star Wars: Visionaries” ukaże się na amerykańskim rynku w kwietniu 2005 roku i ma zawierać około 120 stron.

(Coming Soon, NN/4 sierpnia 2004 14:28)

TWÓRCA "PI" ADAPTUJE SŁYNNY KOMIKS

Potwierdziły się wcześniejsze doniesienia, jako Darren Aronofsky miał stanąć za kamerą filmowej adaptacji komiksu „Watchmen”.

Twórcami 12-częściowego komiksu zatytułowanego „Watchmen” są Alan Moore i Dave Gibbons. Zeszyty zostały opublikowane w 1986 roku i odniosły duży sukces artystyczny. Ich fabuła koncentruje się wokół grupy superbohaterów, którzy jednoczą swe siły, by wspólnie odnaleźć ludzi planujących ich zagładę.

Realizacją obrazu na podstawie jednej z najpopularniejszych serii zeszytów – często określanych jest jako „Wojna i pokój” wśród komiksów – wydawanych przez DC Comics zajmie się wytwórnia Paramount Pictures. Za kamerą projektu staje Darren Aronofsky. Autorem scenariusza jest David Hayter. Produkcją obrazu zajęli się Eric Watson, Larry Gordon i Lloyd Levin.

Przypomnijmy, że obecnie Aronofsky pracuje nad obrazem „The Fountain”. Na swoim koncie twórca ma takie filmy jak „Pi” i „Requiem dla snu”.

(Hollywood Reporter, Gal/24 lipca 2004 06:04)

"ISTOTA" DLA SPECJALISTY OD JAPOŃSKICH HORRORÓW

Japoński reżyser Hideo Nakata, twórca znakomitych horrorów takich, jak „Ring - krąg” czy „Dark water”, nakręci remake filmu „Istota” z 1981 roku.

W oryginalnym obrazie zrealizowanym na podstawie opowiadania Franka De Felitta wystąpiła Barbara Hershey. Fabuła filmu skupia się na losach młodej kobiety, która pewnego dnia stwierdza, że została zgwałcona i pobita przez niezemską istotę. Gdy próbuje opowiedzieć o tym zdarzeniu swoim bliskim, zostaje uznana za chorą psychicznie. W związku z tym prosi o pomoc parapsychologa i postanawia za wszelką cenę udowodnić prawdziwość swoich przypuszczeń.

Nową wersję scenariusza napisał David DiGilio, który ostatnio pracował nad fabułą filmu „Antarctica”.

(Variety, NN/1 sierpnia 2004 05:41)

NOWA KSIĄŻKA WITOLDA JABŁOŃSKIEGO

Na początku września nakładem Niezależnej Oficyny Wydawniczej „NOWA” ukażą się „Metamorfozy” Witolda Jabłońskiego – kontynuacja „Ucznia czarnoksiężnika”, opowiadającego o śląskim magu Witelonie.

Edyta (www.gildia.com)



SZERER W HISZPANII

Feliks W. Kres podpisał umowę z hiszpańskim wydawcą na edycję całego swojego cyklu o Szererze. Jako pierwsza wydana zostanie „Północna granica”.

Dotychczas powieści Kresa przetłumaczono na języki rosyjski i czeski.

Katarzyna Rodek (źródło: www.gildia.com)

NEIL GAIMAN O ŻYCIU I ŚMIERCI

Wytwórnia New Line Cinema zakupiła prawa do adaptacji powieści graficznej Neila Gaimana „Death: The High Cost of Living”. Autor komiksu najprawdopodobniej stanie za kamerą filmu. Będzie to dla niego debiut w roli reżysera.

Projekt nosi tytuł „Death's Day”. Gaiman jest także autorem scenariusza do filmu. Jego akcja koncentruje się na nastolatku o imieniu Sexton, który zastanawia się nad popełnieniem samobójstwa. Wówczas na jego drodze pojawia się tajemniczy młodzieniec, który twierdzi, że jest Śmiercią, przybywającą na Ziemię co sto lat na jeden dzień, aby dowiedzieć się czegoś na temat odbieranego przez siebie życia. Akcja obrazu ma się rozgrywać w przeciągu jednej doby, w czasie której Sexton dzięki Śmierci zaczyna kochać życie.

(Variety, Gal/23 lipca 2004 11:55)



Neil Gaiman jest scenarzystą filmowym i komiksowym, autorem słuchowisk radiowych oraz pisarzem zarówno dla dorosłych, jak i dla dzieci. Podczas prawie 20 lat pracy pisarskiej stał się najpopularniejszym scenarzystą nowoczesnego komiksu, a teraz jest jednym z najlepiej sprzedającym się pisarzem powieściowym.

Jest twórcą serii „Sandman”, kultowej serii komiksowej, która wielokrotnie otrzymała nagrodę Neil & Will Eisner Comic Industry Award. Sam Gaiman zdobył wiele innych nagród, włączając w to otrzymaną w 1993 roku Diamond Distributors „Gem” Award, przyznawaną mu przez dystrybutorów komiksu za jego wkład w rozszerzenie rynku czytelników komiksu na świecie.

Jako scenarzysta filmowy pracował przy anime „Księżniczka Mononoke” (1997) oraz przy serialach „NeverWhere” (opartym na jego powieści „Nigdziebądź”) oraz „Babylon 5”. W przygotowaniu są adaptacje innych jego książek, w tym horroru dla dzieci „Karolina” oraz „Dobrego omenu” (powieści napisanej wspólnie z Terry Pratchettem) oraz „Books of Magic” i „MirrorMask” (według powieści „Dom i lustra”).

Z ARCHIWUM PIPIDŹEJA

Tekst ten ogłoszony został na Uniwersytecie Warszawskim podczas Międzynarodowego Seminarium Krytycznego „Kontynuatorzy czy kontestatorzy? Współczesna fantastyka naukowa” – zorganizowanego przez tę uczelnię i Miesięcznik Literacki „Fantastyka” w dniach 21-22 marca 1988 r. Nie był dotąd nigdzie publikowany. Teraz ukazuje się bez żadnych zmian redakcyjnych; zlikwidowane zostają tylko (dla zaoszczędzenia miejsca) przypisy.



SCIENCE FICTION: ANTYKI I PATENTY

„Odmiany w piśmiennictwie wysokim, młodzieżowym i rozrywkowym oraz w filmie współczesnym oparte na elementach czerpanych z nauki, popularyzujące jej poglądy i hipotezy. Są to zwykle opowiadania, nowele i powieści, w których fantastyka polega na przewidywaniu nie istniejących jeszcze, ale prawdopodobnych osiągnięć wiedzy i ich wpływu na życie. Akcja utworów bywa często umieszczana w przyszłości, a uprzywilejowane są motywy szczególnie aktualne w obecnym postępie wiedzy i najbardziej zaawansowanych jej dziedzinach, budzących powszechne zainteresowanie (w technice, astronautyce, biologii)”.

1. Science-fiction – próba ukazania specyfiki

Przytoczona na wstępie definicja fantastyki naukowej nie jest jedyną – istnieje ich wiele, a wszystkie starają się nazwać i określić owo specyficzne zjawisko literatury XX wieku. Każda z nich wydaje się też – na swój sposób – niekompletna. Ta akurat ujmuje jedną z cech SF, która wydaje się istotna w kontekście niniejszej sesji. Jaka to cecha – o tym poniżej; najpierw spróbujemy wyspecyfikować kilka dotyczących literatury fantastycznonaukowej oczywistości...

Na początek odwołajmy się do podstawowego rozróżnienia typów fantastyczności w sztuce, którego dokonał Roger Caillois. W swym szkicu *Od baśni do science-fiction* Caillois – uwzględniając sposób występowania w świecie przedstawionym pierwiastka fantastycznego – następująco charakteryzuje baśń, literaturę grozy i fantastykę naukową:

- w baśni pierwiastek fantastyczny jest immanentną cechą świata przedstawionego (np. dla bohaterów utworu latający dywan jest czymś tak naturalnym, jak dla bohaterów prozy realistycznej – rower);
- w fantastyce grozy zjawisko fantastyczne jest czymś tak samo obcym dla świata przedstawionego i jego mieszkańców, jak obce byłoby i dla nas (np. w „realistycznie” ukazanej oberży pojawia się nagle duch zamordowanego gościa);
- w science fiction występują „rekwizyty” obce realnemu światu, lecz „spójność” świata przedstawionego zostaje przywrócona, gdyż obecność tych „rekwizytów” uzasadniona jest w sposób „naukowy” (np. dywan unosi się w powietrzu, gdyż wytwarza pole elektromagnetyczne, zaś martwe ciało wstaje z grobu, gdyż opanowały je myślące wirusy z obcej planety).

Rzeczywiście, najbardziej charakterystyczną dla science fiction cechą wydaje się być owo mniej lub bardziej naukowe (czasem pseudonaukowe zgoła) uzasadnienie ukazania elementów fantastycznych w utworze – niezależnie od tego, czy będzie to pojedynczy rekwizyt (np. cudowny wynalazek skonstruowany w scenerii wzorowanej na współczesności), czy też będzie to całe otoczenie, całe wykreowane Uniwersum (np. w utworach prezentujących wizje społeczeństwa przyszłości).

Specyficzna jest także forma czytelniczego zainteresowania: powstają kluby miłośników science fiction, ukazują się specjalistyczne magazyny, odbywają się zjazdy; istnieje też film SF, malarstwo SF, a nawet... poezja SF. Jak zauważył Ryszard Handle – jest to zjawisko bez precedensu na obszarze kultury masowej. Przyczyniło się też ono do zamknięcia fantastyki naukowej w swoistym „getcie”, a co za tym idzie – utrwalenia odrębności tej literatury.

Wyklarowały się już także swoiste odmiany fantastyki naukowej: utopia i jej warianty, social fiction, political fiction, space fiction, space opera, katastrofa, inwazja, historia alternatywna etc. Nas oprócz tego podziału zainteresować musi również ów podana w przytoczonej na wstępie definicji: kostium SF służyć może dziś zarówno literaturze rozrywkowej i młodzieżowej, jak też wysokiej – przeto odpowiedź na pytanie „Kontynuatorzy czy kontestatorzy?” może nie być odpowiedzią jednoznaczną i jedyną.

2. Science-fiction – a inne literatury fantastyczne

Mówiąc o kontynuacji czy też tradycji w SF (a także o kontestacji i nowościach) nie można pominąć starszych niż fantastyka naukowa odmian i gatunków literackich. Przywołując rozróżnienie Caillois wspomnieliśmy o baśni i fantastyce grozy. Jednak science fiction – przynajmniej w swym ambitniejszym nurcie – wydaje się przede wszystkim spadkobierczynią (zauważa to m.in. Andrzej Wójcik) utopii i antyutopii oraz powiastki filozoficznej. Utopia zaadaptowała się w SF tak dalece, iż stała się jedną z jej odmian – z tym, że we współczesnej fantastyce naukowej nie występuje ona właściwie zupełnie w swej „czystej” postaci (ostateczne rozzaczarowanie techniką? ostatnie utwory utopijne to efekt mezaliansu fikcji naukowej z realizmem socjalistycznym...), lecz w swych wersjach a’ rebours: dystopii i antyutopii (wytypowanych m.in. przez Antoniego Smuszkiewiczza). Dystopia snuje pesymistyczne wizje na podstawie niepokojących zjawisk zauważonych we współczesności i modelowym ich rozwinięciu (np. *Paradyzja* czy *Limes interior* Janusza A. Zajdla); antyutopia zaś doprowadza do absurdu optymistyczne elementy świata utopijnego – wykazując logiczną sprzeczność całego założenia (np. *Powtórka* czy *Altruizyna* Stanisława Lema). W utworach SF sięgających do tradycji powiastki filozoficznej wyraźnie zauważyć można oddzielenie warstwy beletrystycznej i filozoficznej – zaś właściwym „bohaterem” utworu jest przede wszystkim postawiony w nim problem (np. *Dzienniki gwiazdowe* Lema).

Inną odmianą literatury, z której SF czerpie pełnymi garściami, jest powieść awanturzysta. Wiele powieści i opowiadań SF to bezpretensjonalne, często sprawnie napisane, utwory przygodowe w nowej szacie. Niestety, Niestety groszowej odmianie fantastyki naukowej wykorzystywane są bardzo często schematy zapożyczone z baśni, horror-story, także z westernu, kryminału, romansu – w tym celu jedynie, by w barwnej okładce z latającym talerzem sprzedać bez problemu starą ramotkę. Podejrzewać bowiem można, że podobna „pulp fiction” powstaje nie w wyniku zainteresowania jej twórców fantastką naukową, lecz z chęci wyciągnięcia łatwych zysków z „podłączenia się” do modnego (i dochodowego) obecnie nurtu.

Oczywiście w SF spotkać można również twórcze, niekonwencjonalne przetworzenia dawnych wzorów. Jednym z najciekawszych i najoryginalniejszych są niewątpliwie *Bajki robotów* Stanisława Lema (jawnie zresztą przetwarzające baśniowe motywy – w przeciwieństwie do utworów wtórnych, które swe związki z „tradycją literacką”, równie usilnie co bezskutecznie, próbują zatuzsować...).

Entuzjaści literatury fantastycznonaukowej chętnie nobilitują ją poprzez doszukiwanie się prapoczątków w twórczości m.in. Lukiana z Samosaty, Thomasa More'a, Cyrano de Bergeraca, Janathana Swifta – może nie w opisie wynalazku technicznego (trudno porównywać „księżycowe” utwory Lukiana czy Cyrana z *Wokół Księżycy* Verne'a), lecz w pewnym nowym spojrzeniu na problemy Człowieka: mieszkańca Ziemi i reprezentanta Społeczeństwa. Przy podobnym podejściu do tradycji również polska fantastyka może powołać się nie tylko na Żuławskiego, Grabińskiego, Słonimskiego – ale i na Schultza, Witkacego, Gombrowicza (choć oczywiście zaliczanie tych pisarzy bezpośrednio do grona twórców SF byłoby absurdem).

3. Science-fiction – a literatura realistyczna

Właściwie można by się długo spierać, czy literatura stricte „realistyczna” istnieje (czy w ogóle istnieć może) – ale nie jest to temat niniejszej sesji. Możemy więc, w maksymalnym uproszczeniu założyć, że „[...] w powieści realistycznej świat fikcji budowany jest z tego, co w codzienności typowe, znane większości ludzi z danego środowiska[...]”.

Truizmem jest stwierdzenie, że literatura zawsze buduje fikcję (w Warszawie nie było nigdy sklepu Wokulskiego; sprzecznością jest zaprezentowanie snu, który bohater zapomniał tuż po przebudzeniu; nawet w *nouveau roman* istnieje założony element autokracji), lecz i zakwalifikowanie utworu do grona „realistycznych” lub „fantastycznych” jest nader umowne. Marek Wydmuch, przyglądając się *Świętemu* Leslie Charterisa, zauważył, iż bohater władający kilkunastoma językami, prowadzący wszelkie możliwe pojazdy, znający przeróżne szkoły walki, będący ekspertem w dowolnej dyscyplinie (a do tego piękny i młody) – jest postacią bardziej nieprawdopodobną niż skomplikowany robot w utworze kreującym wizję świata przyszłości. Zwraca też uwagę, że element fantastyczności nie musi czynić utworu fantastycznym (przywołuje *Dziady*, ale chyba lepszym przykładem byłaby tu *Lalka*).

O zapożyczeniach z „realistycznej” literatury awanturkowej i wkomponowaniu ich w „kostium” SF wspomniałem w poprzednim podpunkcie. Podpunkcie utworach ambitniejszych wyodrębnienie elementu realistycznego jest bardziej złożone, gdyż zawiera się on nie w warstwie fabularnej, lecz w treści dzieła. Znane są np. zarzuty, jakie Herbertowi George'owi Wellsowi stawiał Jules Verne. Okazało się jednak – niestety – że właśnie pesymistyczne wizje Anglika (np. wojna totalna) sprawdziły się zadziwiająco dokładnie, zaś pozytywistyczny optymizm Francuza dawno już spoczął w lamusie (ironia dziejów sprawiła, że także w dziedzinie technicznych odkryć Wells – zupełnie niezamierzeni – okazał się lepszym prorokiem od Verne'a). Zresztą utwory SF pisane w konwencji pseudowerystycznej (obecnie stanowią one znikomą mniejszość) starzeją się najszybciej.

Jak zauważyła Anna Matuszewska – w dobrej fantastyce naukowej obok „prawdopodobieństwa egzystencjalnego” występuje „prawdopodobieństwo fabularne i psychologiczne”. I tylko taka SF zdolna jest wyrazić te niepokoje współczesnego człowieka, jakie zawarł Alvin Toffler w swej słynnej książce *Szok przyszłości*.

4. Science-fiction – „patenty”

Należy bowiem zwrócić uwagę na fakt, że SF posiada (przynajmniej teoretycznie) możliwość zaprezentowania problemów, których literatura dotąd nie podejmowała; mogą to być m.in.: wpływ wszechobecnej rewolucji technicznej na ludzką osobowość (przemiana stylu życia itp.), spojrzenie w domniemaną przyszłość (hipotetyczna spuścizna dnia dzisiejszego), skonfrontowanie z wyobrażeniem obcych nam inteligencji (relatywność uniwersalnych w naszym pojęciu zasad etyki i logiki), zestawienie istoty ludzkiej z bezmiarem Wszechświata (ukazanie „podrzędności” praw Newtona wobec obcej nam fizyki Einsteina) etc. Czy literatura fantastycznonaukowa podjęła owe

nowatorskie wyzwania (i z jakim wynikiem), a także czy (i co) nowego wniosła do literatury pięknej – zastanowimy się teraz, przechodząc do zasadniczej części tego referatu.

Najpierw przyjrzymy się tytułowemu „patentom”, a więc temu wszystkiemu, co w science fiction nowe, odkrywcze, oryginalne – a przynajmniej specyficzne.

Na samym początku należy stwierdzić, że fantastyka naukowa jest literaturą wybitnie narracyjną, opowiadającą konkretną historię; stwierdzenie to dotyczy zarówno jej odmiany czysto rozrywkowej, przygodowej, jak i tej ambitniejszej, którą moglibyśmy nazwać „filozoficzną” czy „poszukującą”. Nie są zatem możliwe w jej obrębie nadmiernie śmiałe i gwałtowne eksperymenty formalne (a ich dość niemrawe próby odnajdujemy jedynie w „wyższej” odmianie SF). Widać zresztą tę prawidłowość w całym rozwoju „fanowskiego” ruchu: istny boom przeżywa film SF, istnieje komiks SF i (bardzo mu bliskie) przedstawiające marlarstwo SF – brak zaś (mimo równie usilnych co nieudanych prób) prawdziwej poezji SF (znakomity wiersz Tima Josepha *Teoria jednolitego pola* jest zmiennym wyjątkiem: nie jest to jednak poezja liryczna, lecz jednak narracyjna i intelektualna...). Tak więc „patentów” science fiction poszukiwać będziemy raczej w treści utworów, niż w ich formie (choć tej też się przyjrzymy).

Pierwszym (chronologicznie) „patentem” literatury fantastycznonaukowej było niewątpliwie jej... powstanie: Jules Verne wprowadził do literatury wynalazek techniczny jako autonomiczny podmiot, znalazł naukowe (choć nie zawsze zgodne z wiedzą i prawami natury) uzasadnienie dla ukazania elementu fantastycznego, stworzył podwaliny tej nowej prozy fantastycznej.

Herbert George Wells z kolei potraktował motyw wynalazku instrumentalnie, interesowały go domniemane cele i skutki jego zastosowania oraz ich reperkusje psychologiczne i społeczne – zaś owa „zdrada” hard fiction bliska jest tendencjom dzisiejszym, gdyż określenie „science” coraz częściej dotyczy nie mechaniki czy astronautyki, lecz takich nauk, jak psychologia, socjologia, politologia, antropologia...

Nawet Hugo Gernsback i John W. Campbell jr wprowadzili do fantastyki naukowej coś nowego: mimo że lansowane przez nich (zwł. Gernsbacka) utwory były przeważnie „kosmicznymi romansami”, to jednak ich masowość zapewniła SF pewną autonomię, czytelnik zaczął oswajać się z nowym typem fantastyki – i autorzy nie musieli już stopniowo „wprowadzać” go w obcy dlań świat (jak dawnej utopii), lecz mogli od razu wrzucać go w wir wydarzeń, do „krajiny przyszłości” – a panujących w niej opraw sam musiał się w trakcie lektury domyślać. We współczesnej futurystycznej fantastyce konwencja ta jest już właściwie od dawna obowiązującą regułą.

Początek fantastyki współczesnej to epoka kontestacji, lata sześćdziesiąte – gdy dała o sobie znać Nowa Fala science fiction. Wtedy właśnie nastąpiło znużenie „twardą” fantastyką, odejście od rekwizytu technicznego (chciano nawet zmienić nazwę ze „science” na „speculative”); wrócono do – spotykanej już u Wellsa, a zarzuconej na rzecz „gwiazdnych wypraw” – poetyckości i oniryczności, a także do – co wydaje się najistotniejsze – zaczęto kreować bohatera SF (który dotąd służył jako przedmiot, „szczur w labiryncie”) jako podmiot, nie tylko działający, ale i myślący, bliski postaciom współczesnej prozy psychologicznej.

Nowa Fala trwała krótko, niektórzy jej twórcy odeszli później od SF (np. J.G. Ballard), lecz pozostawiła po sobie kilka trwałych pamiątek (m.in. poszerzenie zakresu pojęcia „science”, zainteresowanie „kosmosem wewnętrznym”, nieliczne eksperymenty formalne). Zauważyć jednak należy, że były to innowacje wyłącznie na gruncie science fiction: dowodziły jedynie „dojrzałości” literatury SF i jej zbliżenia do „normalnej” prozy – zaś wiele pokrewnych Nowej Fali utworów (np. niektóre poetyckie opowiadania Raya Bradbury'ego) zaliczamy do fantastyki naukowej jedynie dzięki... nazwisku autora.

Przyjrzymy się teraz „patentom” science fiction współczesnej – z zaznaczeniem, że pod tym terminem rozpatrywać będziemy SF powstałą od czasu New Wave (jako

fantastykę już wyklarowaną) – zaś rzut oka na fantastykę najnowszą zamknie ten podpunkt.

Zacznijmy od fabuły. Istnieją w science fiction tematy i wątki dla niej właśnie charakterystyczne, spotykane już w najwcześniejszych utworach spod jej znaku. Należą do nich m.in.: wyprawa kosmiczna, podróż w czasie, kontakt z obcą cywilizacją, obraz społeczeństwa przyszłości.

Wyróżnić tu możemy temat SF „specyficzne” – jak lot międzygwiazdny czy chronomocję (choć wyprawy do odległych światów i w przeszłość odnajdziemy też w innych literaturach – jednak mają one inną motywację i wymowę) oraz tematy SF „dyżurne” – problemy ekologiczne, demograficzne, społeczne, polityczne (zwykle powstanie utworu sprawia wrażenie reakcji na jakiś aktualny kryzys).

Często stałe tematy SF są w kolejnych utworach interesująco przetwarzane; chociażby coraz pomysłowsze przykłady „chronoklazmów” (tj. „pętli czasu”) w utworach o tematyce chronomocyjnej, zaś jaskinie z *Wyprawy do wnętrza Ziemi* Verne’a zastąpiło w *Rejsie po promieniu* Barringtona J. Bayleya następujące założenie fantastyczne: okręt przenikający skały zmniejsza się w miarę zanurzania w gęste warstwy materii – i „terranautów” dzieli od antypodów odległość równa tej na Andromedę.

Od czasów Nowej Fali nastąpiło wzbogacenie starych motywów science fiction o wątki psychologiczno-socjologiczne (np. w opowiadaniu J.G. Ballada *Szaleńcy* tradycyjny pomysł – „zakaz” – dotyczy nie opuszczania miejsca pobytu, lecz... pomocy psychiatrycznej). Interesujący jest też nurt dystopii ukazujących nie nędzę materialną i policyjny terror, lecz obraz społeczeństwa, które osiągnęło spokój i dobrobyt – za cenę „drobnej korekty” natury ludzkiej (np. w *Powrocie z gwiazd* Stanisława Lema ludzie zostali medycznie pozbawieni czynnika wywołującego agresję, zaś w *Mieście i gwiazdach* Artura C. Clarke’a zakładowano ludzkości fobię przed opuszczeniem opiekuńczej kopuły syntetycznego supermiasta).

Wiele „buntów” na kartach SF – to jednak bunty nader „pocziwe”, ilustracje spraw oczywistych (że każdy człowiek ma prawo do swego indywidualnego rozwoju, że to ludzie powinni rządzić maszynami itp.). podobne „kontestacje” przywodzą na myśl zasadę wyznawaną przez dawnych producentów hollywoodzkich: „sprzedawajmy to, co będą mogły kupić całe rodziny!”. Na tle tego „buntu” dozwolonego od 14 lat” do dziś interesująco prezentuje się – nowatorska w chwili swego powstania – antologia Harlana Ellisona...

Ellison wpadł na pomysł zaprezentowania niekonwencjonalnych utworów SF – w antologii, na którą złożyły się utwory kontrowersyjne w treści i w formie, nie mogące ukazać się w „przyzwoitych” (i... dość sztampowych) masowych magazynach. Ich opublikowanie oznaczało wyłom w purytańskiej polityce wydawniczej. Autorzy (wszystkie utwory powstały specjalnie dla Ellisona) mogli wreszcie zaatakować wszelkie możliwe tabu: Boga, Ojczyznę, Sztandar, Rodzinę Aseksualność, Kult Siły i Ekspansji... Ogółem ukazały się cztery tomy *Niebezpiecznych wizji*, przy czym utwory w nich zaprezentowane były nie tylko „szarganiem świętości” i „paradą obsceniów”: to jeden z najlepszych zbiorów opowiadań SF, spod piór mistrzów amerykańskiej fantastyki – a także pisarzy mało znanych.

Data ukazania się pierwszego tomu antologii – to „szalony” 1967, apogeum hipisowskiej kontestacji (i rok wydania „programowej” płyty Beatlesów *Orkiestra Klubu Samotnych Serc Sierżanta Pieprza*). *Dangerous Visions* bliskie też były programowi Nowej Fali – New Wave również głosiła bunt, nihilizm i inne hasła ówczesnego ruchu młodzieży i intelektualistów. Przykładem podobnej twórczości mogą być powieści i opowiadania brytyjskiego pisarza Normalna Spinrada – z uwagi na niewybredny język swych utworów został on nawet zaatakowany w Izbie Gmin („[...] gdzie nazwano go degeneratem”).

Jednak cechą charakterystyczną zarówno wulgarnych słów, jak i drażliwych tematów jest to, że po pierwszym szokach czytelnik oswaja się z nimi – a włączyć osiemdziesiątych zdążyły one wręcz spowszednieć (nie tylko w SF...).

Przeniesienie na grunt polski „kontestacji a’ la Ellison” byłoby niemożliwe nie tylko AD 1968: podobne novum i dziś [przypr. red.: ten referat PiPiDżej pisał w początkach 1988 roku!] spotkałoby się zapewne z wieloma atakami (ze wszech stron). Dopiero ostatnimi czasy również u nas pojawiają się „mniej ugrzecznione” utwory SF (jedną z „jaskółek” był druk w „Fantastyce” minipowieści Jamesa Tiptreee jra *Houston, Houston...*), jednak polska „rewolucja obyczajowa” odbywa się głównie w literaturze realistycznej (wartościowe przekłady – i dość żałosne usiłowania rodzime).

Ale kontestacja w polskiej science fiction do niedawna objawiała się nie w formie, obyczajowości czy obrazoburstwie, lecz głównie w dziedzinie społeczno-politycznej: przez wiele lat SF była w PRL także literaturą „zamiast” – jedną z nielicznych możliwości mówienia o problemach narastających, a pomijanych milczeniem. Najbardziej reprezentatywnym przykładem jest twórczość Janusza A. Zajdla – zaś maestia budowania modeli społecznych uczyniła zeń godnego kontynuatora nurtu dystopijnego.

Mówiąc o „patentach” w science fiction należy jednak pamiętać, że wszelkie prawdziwe innowacje w literaturze (nie tylko fantastycznonaukowej) są zawsze dziełem nielicznej grupy twórców – gros zaś powiela (czasem całkiem sprawnie) zastane schematy.

Wśród autorów oryginalnych i wybitnych (a jednocześnie należących do mistrzów literatury SF) chciałbym zwrócić uwagę na dwóch twórców: Philipa K. Dicka i Stanisława Lema.

Philip K. Dick był autorem licznych (i nader rozmaitych) powieści i opowiadań – nas jednak interesuje najbardziej charakterystyczny nurt jego twórczości (przykładem może być m.in. wydany w Polsce *Ubik*). Nurt ten jest nie tylko czymś absolutnie odkrywczym w skonwencjonalizowanej fantastyce naukowej, ale wręcz rozsądza jej dotychczasowe ramy – do tego stopnia, że można się nawet zastanawiać, czy utwory w rodzaju *Ubika* mieszczą się w ogóle w kategorii science fiction przy uwzględnieniu kryteriów zaproponowanych przez Rogera Caillois!

Nie chodzi tu o „rekwizyty”, u Dicka spotykamy bowiem rekwizyty typowe dla amerykańskiej SF, lecz o rzecz nadrzędną: konstrukcję Uniwersum. A bliższa jest ona raczej fantastyce grozy, gdyż owa charakterystyczna dla fantastyki naukowej spójność świata ulega w pewnym momencie (podobnie jak w klasycznej weird fiction) całkowitemu zburzeniu. Oczywiście utwory Dicka to ciągle science fiction, lecz science fiction nader nietypowa. Jak zauważył Lem – zagłada w SF przychodzi zawsze zgodnie z prawami panującymi w świecie przedstawionym danego utworu (dodam: nawet jeśli te prawa diametralnie różnią się od praw panujących w świecie realnym – co pozostaje w zgodzie z podziałem Caillois). Natomiast Natomiast utworach Dicka rozpadają się – właśnie owe prawa rządzące światem! Zaś destrukcja ta jest tak totalna i irracjonalna, iż zważyć można w to, że prawa te kiedykolwiek naprawdę obowiązywały...

Do kontestacyjnego modelu Lem u zblizala jedna cecha: naduzywanie narkotykow – w czym mozna doszukiwac sie zrodla jego psychodelicznych wizji.

Stanisław Lem i jego dzieło to fenomen nie tylko w science fiction, ale w literaturze pięknej w ogóle – tu jedynie bardzo pobieżnie możemy wytypować kilka charakterystycznych cech twórczości najsłynniejszego z żyjących pisarzy polskich. A twórczość to i niezwykła, i obszerna: Lem ma na swoim koncie powieści, opowiadania, eseje; pisze fantastykę zarówno w tonacji serio, jak i żartobliwej. Można jednak odnaleźć wspólny mianownik: to spojrzenie nie tyle na jednostkę ludzką, co na istotę człowieczeństwa. W swych utworach (np. poprzez zaprezentowanie nieudanego kontaktu z obcą inteligencją czy konfrontacji psychiki ludzkiej z „psychiką” superkomputera) wykazuje relatywność wielu tych wartości, które – „takie widząc świata koło, jakie tępymi zakreślamy oczy” – uważać zwykliśmy za wartości stałe, bezwzględne i

„ogólnokosmiczne”. Idzie z tym w parze bardzo odważna i nader własna filozofia – w naszym kraju, zdominowanym przez dwa potężne systemy światopoglądowe, filozofia wręcz „kontestacyjna”. Lem ze swej „kosmicznej” perspektywy (mam na myśli nie tematykę, lecz jakość problemową utworów) spogląda na człowieka jako na Cząstkę Kosmosu. Tego kosmosu, którego nigdy nie ogarniemy, gdyż nie jest on naszą własnością – to my jesteśmy jedną z jego form, wariantem ani lepszym, ani gorszym. Książki Stanisława Lema (zwł. najnowsze) to właściwie nieustające wyznaczenie tej „filozofii przypadku”, głoszącej tylko jeden absolut – Rozum, nie oczekującej żadnego Zadośćuczynienia (ani mistycznego, ani społecznego), filozofii nieco pesymistycznej i cynicznej – a jednak mądrej, szlachetnej i uniwersalnej.

Zbliżając się do końca tego podpunktu poszukajmy „patentów” formalnych.

Powyżej była wzmianka o narracyjności literatury SF i braku rewolucji formalnych w jej obszarze – jednak kilka przykładów uda się przedstawić.

Należą do nich (charakterystyczne dla fantastyki naukowej) neologizmy. Nazywają one zwykle desygnaty wyimaginowanej przyszłości: określają pojazdy, przyrządy, zawody, zjawiska, planety, ich mieszkańców. Mistrzem w tworzeniu neologizmów jest np. Lem – wspomnijmy interesujący „opis” niepojmowalnego świata z *Powtórki* (wyrazy przypominające rzeczowniki, czasowniki i przymiotniki, lecz skonstruowane z rdzeni nie posiadających znaczenia) czy narrację bohatera-maszyny w pierwszych partiach *Maski* (pierwsza osoba rodzaju nijakiego). Często próbą eksperymentu formalnego jest dziś chaotyczna, „udziwniona” narracja (wiąże się to z „wrzucaniem” czytelnika w świat przedstawiony). Spotkać też można – przypominające eksperymenty futurystów – przeinaczania ortografii i interpunkcji. Czasem autorzy włączają do powieści fragmenty „artykułów”, „ogłoszeń” itp. – przeplatając nimi tok akcji (*Gateway – brama do gwiazd* Frederika Pohla). Spotykamy też relacje: świat dzieła literackiego – świat rzeczywisty (*Dziewczyna i robot z kwiatami* Briana W. Aldissa).

Tendencje te – wraz z odejściem od techniki, elementami fantasty i zainteresowaniem aktualnymi nowinkami (informatyka, moda etc.) – zdają się być charakterystyczne dla SF najnowszej (np. twórczość cyberpunkowa).

5. Science fiction – „antyki”

O nich będziemy mówić znacznie krócej – co nie oznacza wcale, że w SF stanowią one ilościową mniejszość. Wręcz przeciwnie; ale – ponieważ są one „jakościowo” podobne do siebie – ich omówienie nie zajmie tyle miejsca, co przedstawienie paru indywidualistów.

O związkach literatury fantastycznonaukowej z tradycją literacką była mowa na początku tego referatu. Teraz spójrzmy na samą science fiction...

Ubóstwo formy było wypominane SF już kilkakrotnie – lecz ze wzmianką, iż wynika ono także ze specyfiki tej literatury. Gorzej, gdy zauważamy w science fiction także powtarzanie się schematów fabularnych: to istny paradoks – literatura fantastyczna cierpi na brak nieskrępowanej... fantazji!

Jednak stereotypy zdominowały literaturę SF średniego lotu (polską prozę np. analizuje pod tym kątem Antoni Smuszkiewicz); zmagania twórców dotyczą raczej – jak w klasycyzmie – interesującego opracowania zastanego tematu. Pomysły czerpane są też z horroru, kryminału, westernu; powstają „dalsze ciągi” udanych powieści czy opowiadań z lubianym bohaterem (to zjawisko nie jest specyfiką SF, lecz w ogóle sztuki popularnej).

Trafiają się interesujące, twórcze: *Bajki robotów* Stanisława Lema, *Wizja lokalna* tegoż – nawiązująca do jednej z wypraw z Dzienników gwiazdowych, poetyckie opowiadanie Dozorisa, Danna i Swanwicka *Bogowie Marsa* – wspominające dziecięcą fascynację klasyką SF...

Do „pasywów” fantastyki naukowej należy też pewna „uproszczona modelowość” prezentowanych problemów (np. w polemicznym wobec misyjnych idei opowiadaniu

Harry’ego Harrisona *Spustoszony będzie Aszkelon* tło społeczne interesującego konfliktu właściwie nie istnieje).

Lem w rozmowie ze Stanisławem Beresiem zarzucił science fiction wręcz jedno wielki fałszerstwo: od charakterów protagonistów po parametry Kosmosu. W przypadku miernej produkcji SF jest to zarzut nie do obrony; lecz Julij Kagarlicki napisał już kiedyś, że Stanisław Lem ocenia fantastykę naukową według jej poziomu przeciętnego, nie zaś osiągnięć – a przy podobnym podejściu nie ma szans żadna literatura...

Faktem jest również, że Lem w swym come back do klasycznej powieści – w *Fiasku* – pokazał, jak trudnym zadaniem jest np. zgodny z wiedzą opis lotu międzygwiazdowego (strategia lotu na Kwintę i zabieg „embrionizacji”!). Dotąd pisali o tym przede wszystkim uczeni (np. opracowanie Andrzeja Marksa *Podróże międzygwiazdne?*).

Ale literatura fantastycznonaukowa (jak każda literatura) ma prawo do licentia poetica – i ten sam surowy Lem, uważający SF za „zmodyfikowaną” powieść o korsarzach, przy omówieniu powieści Alfreda Bestera *Gwiazdy – moje przeznaczenie* stwierdza, iż przy naprawdę sprawnym warsztacie nawet ilościowe zmiany stereotypów „stają się już jakościowymi”.

Niestety, stereotypy owe ciągle ciążyą na SF, nie tylko w odczuciu wielu czytelników, ale też niektórych twórców – i swych związków z fantastyką naukową wypierają się tacy pisarze jak Stanisław Lem, Kurt Vonnegut jr., J.G. Ballard...

6. Science fiction – jako „starość”?

Proza fantastycznonaukowa istnieje już od wieku; przez ten czas wyklarowała swe kanony, przeszła ewolucję, usytuowała się na rynku czytelnicy, zdobyła i wielbieli, i wrogów... Co czeka ją teraz? Czy rozwinie się i opuści ostatecznie mury getta? Czy znudzi się i umrze śmiercią naturalną? Czy może zasklepi się wyłącznie w środowisku „fanów”?

Obecnie ma groźną konkurentkę – swą „młodszą siostrę”: fantasty. Nie zauważył jej jeszcze Roger Caillois, a dziś fantasty wypiera klasyczną SF z łamów magazynów i ekranów kinowych! Czy to znudzenie science fiction, czy... „fin de siecle”?

Czas pokaże, czy wyklaruje się nowa SF, czy też – wraz ze wszystkimi swymi „patentami” – stanie się ona już tylko dwudziestowiecznym „antykiem”...

7. Science fiction – próba podsumowania

Trudno stwierdzić, czy science fiction powinna kojarzyć się nam przede wszystkim z „patentami”, czy raczej z „antykami”. Po pierwsze dlatego, że chociaż ilościowo przeważają w niej utwory mało oryginalne – nie oceniamy przecież literatury „realistycznej” miarą tanich romansideł; dlaczego więc do literatury mogącej poszczycić się Wellsem, Huxleyem, Lemem, Dickiem, Bradbury’em, Vonnegutem, Strugackimi mamy przykładać miarę nieudolnych naśladowców Van Vogta? Po wtóre zaś dlatego, że gwałtowność przemian w kulturze i sztuce jest przyczyną bezradności w ocenie estetycznej dzieła – i dawny podział na kulturę „wysoką” i „niską” wydaje się dziś nieco anachroniczny.

Ową niejednoznaczność widać nawet w kontekście tematu całej tej sesji: przecież w okresie, w którym słowo „kontestacja” kojarzy się najbardziej, w latach sześćdziesiątych, w konwencji SF powstawały zarówno utwory będące wręcz wzorcowymi „drobnomieszczańskimi” kiczami (np. „kosmiczne melodramaty”), jak też i utwory pod każdym względem bliskie opisanym przez Aldonę Jawłowską *Drogom kontrkultury* (np. New Wave).

Literaturę stworzył człowiek – i literatura zawsze, bez względu na konwencję, mówi o człowieku. Jeśli mówi mądrze i w sposób artystycznie dojrzały – nazywamy ją „wielką”; jeśli nieporadnie powtarza utarte stereotypy – odmawiamy jej często miana „literatury”.

To, co w SF wartościowe – wytrzyma na pewno próbę czasu; niezależnie, czy będzie to utwór „stary” (*Wojna światów* Wellsa), czy „nowy” (*Solaris* Lema).

Pozostaje życzyć science fiction jak najwięcej prawdziwych „patentów” – i jak najmniej fałszywych „antykwów”...

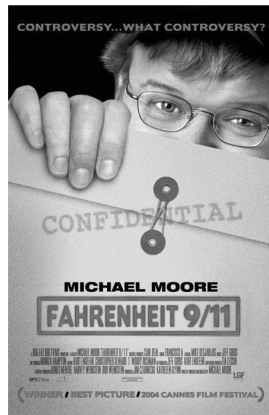
Majstersztyk propagandy

Teoria jednego czynnika, uznająca ów czynnik za zmienną niezależną wszelkich innych procesów, jest zawsze ryzykowna: pozwala spojrzeć na problem z jednej strony, ale pomija wszelką odmienną perspektywę. Pod względem analitycznym jest to narzędzie przydatne; jednak korzystając z niego należy pamiętać, że nie mniej prawdziwe może być spojrzenie odmienne. Nauka nie cierpi jedyności; sztuce szkodzi ona w mniejszym stopniu, ale jednak szkodzi. Posiadanie opinii *a priori* jest szczególnie zabójcze dla formy dokumentalnej, która powinna ukazywać prawdę, a przynajmniej próbować do niej dotrzeć. Gdy przed rozpoczęciem poszukiwań wiemy już, co chcemy znaleźć, może powstać fikcja, nie dokument (choć trzeba przyznać, że nie musi, skoro z fałszywych przesłańek można wysnuć poprawne wnioski).

Michael Moore nie kryje, że jego filmy mają dowodzić z góry założonych tez. Nie oznacza to jednak, że skonstruowane w ten sposób dzieło będzie nieudane: wprost przeciwnie. Pomysł ten zadziałał znakomicie w poprzedniej jego produkcji, „Zabawach z bronią”: wyjaśnienie powszechnych rozmiarów przestępczości w Stanach Zjednoczonych powszechnym dostępem do broni było myślą ważną i intuicyjnie trafną. Dokonane przez autora drobne manipulacje i łzawe sceny jego wizyty u Charlesa Hestona nie były istotne wobec ważkości „przesłania”: powstał film mocny i emocjonujący, znakomity.

Fahrenheit 9/11 tak ważny i emocjonujący już nie jest. Metoda jest ta sama: dwugodzinny felieton, dobieranie faktów do założonej tezy i ironiczno-złośliwy komentarz z offu. Dlaczego zatem tym razem broń nie wypaliła? Rzecz w tym, że założona w filmie teza jest co najmniej nieoczywista. Jedynym czynnikiem Moore'a jest ropa: to ropa od lat wiąże interesy rodziny Bushów z saudyjską rodziną bin Ladenów; to dla ropociągu z Morza Kaspijskiego Bush wysłał wojska do Afganistanu; to dla ropy Bush rozpętał wojnę w Iraku. Niewygodne fakty Moore po prostu przemilcza: nie mówi, że obiektem pierwszego ataku był nie legalny rząd Afganistanu, ale nieuznawany przez nikogo na świecie Taliban; nie zauważa gazowania Kurdów i zwalczania irackich szyitów przez mniejszość sunnicką. W zamian rozwodzi się nad kwestią broni masowego rażenia: Bush oszukał własny naród, oszukał sojuszników i zmontował międzynarodową koalicję tylko po to, aby zdobyć iracką ropę. I wszystko jasne, można podsumować. I tylko pozostaje pytanie, czy najłatwiejsza odpowiedź jest jedyną prawdziwą: czy naprawdę chodziło tylko o ropę?

Mimo ideologicznych naleciałości znać rękę mistrza: film jest świetny tam, gdzie ogranicza się do rekonstrukcji faktów. Ciekawie jest posłuchać o wątpliwych sukcesach finansowych George'a Busha juniora,



dowiedzieć się, że Bush 40 procent czasu spędza na urlopie, że Hamid Karzaj jest dawnym doradcą firmy, w której Bush był członkiem rady nadzorczej, zobaczyć prezydenta USA zupełnie zagubionego i bezradnie czytającego bajkę dla dzieci po otrzymaniu wiadomości o ataku na World Trade Center. Wnioski, jakie z faktów tych wysnuwa Moore, należy jednak wziąć w szeroki nawias.

Wspomniana rekonstrukcja faktów zajmuje nieco ponad godzinę i czas ten warto poświęcić; natomiast pozostałą część filmu spokojnie można było wyrzucić. Pierwsze kilkanaście minut to relacja z domniemanych fałszerstw wyborczych na Florydzie, które „zaklepać” mieli republikańscy „koleczy tatusia” z Sądu Najwyższego: na ekranie pojawiają się kolejni bohaterscy reprezentanci usiłujący złożyć protest, ale „jeden po drugim odsyłani na miejsce” wobec braku wymaganego podpisu członka Senatu. Dlaczego żaden senator nie zechciał podpisać protestu, Moore pomija milczeniem. W drugiej godzinie filmu dowodzi zaś, że młodzi amerykańcy zgłaszają się na ochotnika do armii, aby uciec od biedy i zarobić na studia; w epizodzie dowiemy się, że kongresmeni nie czytają ustaw i prawo o ograniczeniu swobód obywatelskich przyjęli nie wiedząc, co właściwie stanowią; natomiast przez ostatnie pół godziny autor pokazuje rodzinę ofiary wojny w Iraku: rodzice rozpaczają, cytują list, w którym syn wyraża nadzieję, że „nie wybiorą znowu tego głupca”, Moore urządza w Waszyngtonie happeningi. Owszem, wiele mówi widok senatora uciekającego po propozycji, aby własnego syna skłonił do wyjazdu do Iraku; w sumie jednak nie wiadomo, o co właściwie Moore'owi chodzi.

Jedynym, co łączy film jako całość, jest totalna krytyka osoby i polityki George'a Busha; przy czym Bush okazuje się winnym całego zła ostatnich lat, może poza gradobiciem, trzęsieniem ziemi i kokluszem. Zwłaszcza wojnę Moore krytykuje w sposób nieskomplikowany jak budowa cepa: och ach, jak na wojnie strasznie, Bush wysłał naszych synów na śmierć, wszelka wojna to zło, trzeba było zostać w domach i pozwolić Irakijczykom cieszyć się wolnością i bogactwem pod rządami Saddama. Brakuje tylko hasła „make love, not war” do pełnego obrazu anarchistycznej agitki. Jest za to hasło z plakatu: „temperatura, w której płonie pokój”.

Jedynie, co Moore'owi naprawdę się udaje, to ukazanie George'a Busha jako głupca i osoby niekompetentnej. Osobną kwestią pozostaje, czy obraz ten jest zgodny z prawdą: czy idiota wygrałby dwie wojny? Dla Moore'a odpowiedź jest oczywista, ja wolałbym pozostać przy niektórych chociaż wątpliwościach.

Tak czy siak, powstał jednak film bardzo dobry, a na pewno warty obejrzenia. Mimo propagandy anarchizmu, żerowania na emocjach, naginania faktów i obsesyjnej jednostronności. Leni Riefenstahl też robiła świetne filmy - Moore jest jej godnym następcą.

Michał Szklarski



Herbatka z domowikiem

Czasami trzeba mieć nad głową bacik. Gdyby nie obowiązki związane ze zbliżającym się Teleportem, nie zająłbym do debiutanckiej książki Michała Studniarka. Miałbym czego żałować - „Herbatę z kwiatem paproci” śmiało można bowiem polecić do czytania.

Głównym bohaterem powieści jest Adam Chors, dziennikarz jednego z polskich tygodników. Podczas wizyty w warszawskiej herbaciarni wypija nietypowy trunk i razem ze swym nowym znajomym, Koneserem, dowiadyuje się, że niezwykle smak herbaty spowodowało dodanie doń... kwiatu paproci. Autorka recepty, przedstawiająca się jako Goplana, zdradza nieznanym przepis, w zamian prowadząc ich do tajemniczej Bramy, za którą znajduje się pole kwiatów. Obaj zbierają na jej polecenie kilka ich worków. Tak zaczyna się seria dziwnych zdarzeń, dzięki którym Chors przekonuje się, że świat jest inny niż się dotąd zdawał.

Krótko mówiąc - w Warszawie na każdym kroku można spotkać istoty znane ze słowiańskich wierzeń ludowych, których panią jest Goplana - takich jak elfy, domowiki (jednym z nich jest Koneser) czy leszy. Daleko im jednak od przechowywanych w mitach wyobrażeń - w wyniku konfliktu z mężem Goplany, Oberonem, zostały one uwięzione w naszym świecie; niemożność powrotu do Tamtego Świata powoduje ich postępujące ucłowieczenie i degrengoladę. Elfy i ich nadprzyrodzeni znajomi słabną, stają się śmiertelni i pocieszają się, narkotyzując się kwiatami paproci czy spotykając w obskurnej spelunie Balladyna na Powiślu. Ratunkiem ma się dla nich okazać Adam Chors - którego Koneser prosi o pomoc w przekazaniu Oberona. Adam - ku swojemu zdziwieniu - zgadza się. Oczywiście w konsekwencji wpakuje się w tarapaty.

Pomysł to - trzeba przyznać - całkiem zgrabny i w miarę oryginalny. Okazuje się, że jednak można wykorzystać w fantastyce wierzenia słowiańskie - i wcale nie musi z tego wyjść piróg. „Herbata...” stanowi udaną adaptację słowiańskiej mitologii do fantastyki. Niezły efekt daje zwłaszcza połączenie tej tematyki z tematyką „Warszawki” - w motywach takich jak walka domowika z dresami, robienie interesów w internecie przez niezbyt zorientowanego w realiach Oberona, wizyty domowika na spotkaniach snobów czy robienie przez Oberonowych oprychów za korporacyjnych urzędasów.

Najpiękniejsza jest zaś scena mająca miejsce na - cytuję - „ogólnopolskim konwencie miłośników fantastyki”, na którym pojawiają się zarówno czarny charakter, jak i główny bohater. Rzućmy no cytatem: „Większość prelegentów była ludźmi.” Więcej nie będę opowiadał, sami sobie przeczytajcie, he he.

Co prawda znać jeszcze niepewną nieco rękę debiutanta - niekiedy fragmenty dyskusji donikąd nie prowadzą, a intryga staje się trochę zbyt skomplikowana i trzeba się nagłówkować, by się nie pogubić. Mimo to jednak nie zmienia to dość pozytywnego wrażenia. „Herbacie z kwiatem paproci” daleko do genialności, jest jednak przyzwoitym czytadłem w najlepszym znaczeniu tego słowa. Potraktujmy tę powieść jako obiecującą zapowiedź dalszych utworów Studniarka - po które z przyjemnością sięgnę.

Marcin Szklarski



Łańcuch opowiadań

Zastanawiam się, czy Marcin Przybyłek był w młodości wielbicielem Sherlocka Holmesa, czy może jednak powieści Raymonda Chandlera. Być może obu. Dołączył do tego swoją fascynację światem gier komputerowych i tak powstał Gamedec - gierczany detektyw.

Pięć z siedmiu opowiadań z tomu „Gamedec. Granica rzeczywistości” pojawiało się sukcesywnie w „Nowej Fantastyce”. Od pierwszego z nich poczułam sympatię do Torkila Aymore, uważanego za najlepszego wśród gamedeców, i do sposobu narracji autora, któremu znakomicie udaje się połączyć metody dedukcji Sherlocka oraz możliwości stwarzane przez wirtualną rzeczywistość. Natychmiast nasuwa się czytelnikowi skojarzenie, że mniej więcej tak mógł wyglądać świat, w którym powstał Matrix - wiele rozmaitych gier tworzących wirtualne rzeczywistości, przeznaczonych dla najrozmaitszych celów, choć głównie oczywiście rozrywkowych.

W światach tych funkcjonują enpece oraz, istotniejsze dla akcji, enpecki (od ang. npc - non player character, czyli postaci jedynie wirtualnych, nie będących alter ego żadnego żywego człowieka). Czasem jakiś haker napisze program wprowadzający w świat danej gry postaci lub zachowania zupełnie nieprzewidziane przez jej autorów, co sprawia, że pojawiają się w niej najdziwniejsze anomalie, i wtedy do gry wkracza gamedec.

Warsztat literacki Przybyłka jest godny podziwu, narracja prowadzona bardzo sprawnie, płynność językowa zaskakująca.

Mam wprawdzie od razu zastrzeżenia - bardzo nie podoba mi się sztucznie brzmiące słowo „realium”, chyba dużo lepiej byłoby wykorzystać znany powszechnie już w naszym świecie „real”.

Również postać głównego bohatera zaskakuje pozytywnie. Torkil w żadnym wypadku nie jest supermanem, zdarza mu się i bać, i mylić, i mieć wątpliwości, i wahania moralne. Czasem za bardzo zależy mu na pieniądzach, czasem z kolei z zapłaty rezygnuje świadomie. Wszystko przekazane zaś jest w taki sposób, że bohater tylko zyskuje sympatię czytelnika.

W ostatnich dwóch opowiadaniach, które mają swój pierwodruk w tym tomie, coraz większą wagę autor zaczyna przywiązywać do zoenetów, czyli ludzi, którzy na skutek jakiegoś wypadku lub choroby pozbawieni zostali ciała i przebywają w świecie wirtualnym na stałe. Ma powstać dla nich świat będący dokładnym odzwierciedleniem rzeczywistości, co może choćby pomóc w wychowywaniu zoeneckich dzieci. Problemy z jego stworzeniem staną się osnową opowiadania „Finta”. Potem zaś firma Novatronics konstruuje dla zoenetów dibeki, czyli mózgi syntetyczne, które nie starzeją się i nie psują, a do których można przenieść psychikę, zapewniając jej tym samym nieśmiertelność. Stąd już tylko krok do konkluzji: „Skoro Novatronics potrafi skopiować mózg i psychikę, to znaczy, że potrafi też skonstruować sztuczną duszę”. Czyli możliwe będzie ożywienie enpeców. A Torkilowi będzie na tym zależało, choć spowoduje to wiele komplikacji i nastroczy wątpliwości.

Najsłabsze w zbiorze jest opowiadanie „Flashback”, w którym autor sięga - co nieuchronnie musiało się pojawić przy tej tematyce - po wirtualne rzeczywistości zagnieżdżone w sobie. Na ten temat napisał już wszystko Lem i niewiele więcej da się dodać. Docieranie do „prawdziwej rzeczywistości” podejrzenie przypomina doświadczenia Ijona Tichego w „Kongresie futurologicznym”. Przybyłek niestety zaplątał się w dodatku w symbolice dotykającej religii i wiary, i to opowiadanie jest nie tylko mało oryginalne, ale w dodatku bardzo mętne.

Jest to jednak autor o takiej sprawności językowej i łatwości tworzenia ciekawych postaci, że mam nadzieję na przeczytanie jego kolejnych ksiąg, być może niekoniecznie już związanych z gamedecem. Choć z drugiej strony - świat z ostatniego opowiadania o Torkilu, kiedy zaczynają na równych prawach współistnieć zoenecki, enpece i zwykli ludzie, wart byłby rozwinięcia. Może doczekamy się takiego...

Dorota Szeliga (www.gildia.com.pl)

Marcin Przybyłek „Gamedec. Granica rzeczywistości”. Wydawnictwo Supernowa, Warszawa 2004. 364 str.



Jak wykuć sobie miecz...

Po przeczytaniu Kuzynek Andrzeja Pilipiuka wiedziałam, że sięgnę z zainteresowaniem po ciąg dalszy tej powieści a mianowicie - Księżniczkę. Ciekawa byłam, jakie losy przeznaczył autor swoim niezwykłym bohaterkom: Katarzynie, Stanisławie i wampirzycy Monice, tytułowej księżniczce serbskiej. Początkowe zainteresowanie przemieniało się jednak powoli w rozczarowanie, kiedy przez pierwsze cztery rozdziały nic się nie działo. Owszem, do Krakowa przyjeżdża Laszlo, węgierski zabójca wampirów, który chce odnaleźć i zabić Monikę, a następnie dołącza do niego Abraham Van Helsing, znany prawdopodobnie niektórym czytelnikom z powieści o Drakuli. Ale to właściwie jedyne wydarzenie posuwające nieco akcję do przodu. Resztę zajmują szczegółowe opisy wykuwania sobie miecza przez alchemika Michała Sędziwoja, robienia nalewki z pigwy przez Stanisławę, metod topienia srebra na sposób chałupniczy, i tego, jak Monika odnajduje się w szkole wśród koleżanek.



Przy całym podziwie dla niewiarygodnej, wszechstronnej wiedzy Pilipiuka, drobiazgowo tu przekazywanej, coraz bardziej się irytowałam mruczając pod nosem, że przecież to nie miała być książka kucharska ani podręcznik wiedzy o białej broni. Niestety tak to wygląda przez ponad sto stron.

Właściwie można lekturę tej powieści zacząć od rozdziału piątego, w którym to pojawia się golem naślany przez Laszla i jego mentora, aby zabić Monikę. Mistrza Michała zaś nachodzi Bractwo Drugiej Drogi, też w celu pozabawienia go życia. Akcja nabiera tempa, pojawia się kilka efektywnych pojedynków i nieco strzelania.

Dużym plusem jest zakończenie książki, tak zaskakujące, że aż absurdalne. Warto przeczytać tę powieść choćby po to, żeby przekonać się, w jaki sposób Monika poradzi sobie z prześladowcami.

Po przeczytaniu "Księżniczki" trudno oprzeć się wrażeniu, że życie wieczne, lub nawet tylko bardzo długie, musi być straszliwie nudne. Bo czyż naprawdę tysiącletnia księżniczka, śliczna i wyglądająca na lat szesnaście, nie ma lepszego pomysłu na spędzanie swojego czasu, niż chodzenie do szkoły? Czy robienie konfitur według pradawnych receptur ma być uwieńczeniem długiego życia i przebogaty doświadczeń Stanisławy? O Katarzynie trudno w ogóle coś napisać, ponieważ autor najwyraźniej zupełnie stracił pomysł na tę postać - raz przydaje się jej (już nieważna) legitymacja Centralnego Biura Śledczego, poza tym haftuje krzyżykami - jak na kobietę, która niedawno odkryła istnienie swojej długowiecznej kuzynki, oraz sama możliwość takiego długiego życia uzyskała, to trochę mało.

Paradoksalnie, i raczej chyba wbrew zamierzeniom autora, przekonujemy się, że nieśmiertelność nie jest czymś, czego na prawdę może człowiek pragnąć. Zanudziłby się bowiem na śmierć.

Gdyby połączyć obie książki w jedną całość, wyrzucając ciągnące się zakończenie Kuzynek oraz jeszcze nudniejszy początek "Księżniczki", nieco skondensować fabułę i ograniczyć użycie wielokropków do jednego na stronę (średnia Pilipiuka wynosi obecnie trzy), byłaby to całkiem dobra fantastyka, której mocną stroną jest m.in. osadzenie fabuły we współczesnym Krakowie oraz swobodne nawiązania do znanych skądinąd motywów i postaci. Szkoda, że autor nie pokusił się o wkomponowanie w narrację swojej podziwu godnej wiedzy z różnych dziedzin inaczej niż przerywając akcję wykładami.

Dorota Szeliga (www.gildia.com.pl)

Andrzej Pilipiuk „Księżniczka”. Wydawnictwo Fabryka Słów, Lublin 2004. 272 str., cena 26.99 zł

Bez celu

Magom z Lengorchii najbardziej zaszkodziło to, co jest ich największą siłą: siła. Nad całym „Kronikami Drugiego Kręgu” Ewy Białołęckiej ciąży błąd z samego początku sagi, kiedy autorce nie śniło się jeszcze pewnie, że tak daleko drogami stworzonego przez siebie świata zawęduje: za dużo, za łatwo, za szybko. Magowie w świecie Lengorchii są tak potężni i tak łatwo im przychodzi magiczne odmienianie świata, że aż dziw bierze, że nie korzystają w pełni z tych zdolności. Jeśli nastoletni czarodziej potrafi przemieniać kwarc w złoto w ilościach hurtowych, a diament wielkości piłki golfowej wykonuje na oczekaniu, to niepojęte jest dla mnie, dlaczego w całym cesarstwie nie panuje wysoka inflacja. Nie chce mi się wierzyć, że wszyscy stwórcy są tak prawi, iż nigdy, przenigdy i nic a nic nie zachchmęca. Nie przekonuje mnie tłumaczenie jeszcze z pierwszego tomu, że złoto magów jest rozpoznawalne, ponieważ jest zbyt doskonałe, i to powstrzymuje magów przed dewaluowaniem waluty; skoro potrafią stworzyć rzecz doskonałą, to a maiori ad minus w trymiga powinni poradzić sobie także ze stworzeniem złota z odpowiednią domieszką zanieczyszczeń, i nikt by się nie zorientował.

Nie samym jednak światem przedstawionym żyje powieść: powyższe niedostatki równoważone były w pierwszych dwóch tomach ciekawą fabułą, wiarygodnymi postaciami i znakomitym językiem. Także język „Piołunu i miodu” jest świetny, czyta się powieść znakomicie; jednak w pewnym momencie następuje konstatacja, że niewiele się dzieje: późni magowie zajmują się spacerami najpierw po lesie, a później po zamku, sami właściwie nie wiedząc, co tam robią, i tylko w przerwach między spacerami odpierają skrytobójcze zamachy na swoje życie. Niewiele tego jak na 350 stron.

A jednak rzecz wciąga: wciąga dzięki świetnej konstrukcji postaci, które usiłują znaleźć jakiś sens w otaczającym ich świecie i dojść do porządku z samym sobą u progu dorosłości. To najmocniejszy punkt pisarstwa Białołęckiej i myśl przewodnia jej prozy: trudności dojrzewania opisuje z wielką empatią i zrozumieniem. Tłumaczy to, dlaczego trudno na razie dostrzec w „Kronikach” jakiś nadrzędny cel, dlaczego bohaterzy sami nie wiedzą, czego chcą: po prostu nie o to chodzi, to nie „Władca Pierścieni” z wielkimi zmaganiem o przyszłość świata i jasnymi wyborami moralnymi. Cel autorki to opis wchodzenia w dorosłość, niekoniecznie pełną przygód, a w zamian oferującą zagubienie i niepewność: trochę piołunu, trochę miodu. Mimo niedostatków świata przedstawionego powieść się broni: jest to świetna proza psychologiczna. Miłośnicy wartkiej akcji niech sięgną po Ziemiańskiego, a kto woli piętrowe spekulacje ontologiczne, niech przeczyta Dukaja: tutaj chodzi o co innego.

Mogło być lepiej, ale w sumie polecam.

Michał Szklarski

Ewa Białołęcka „Piołun i miód. Kroniki Drugiego Kręgu. Księga III”. Agencja Wydawnicza Runa, Warszawa 2003, s. 353, cena det. 27,5 zł.

GDAŃSKI KLUB FANTASTYKI

ADRES GKF : Gdańsk-Przymorze, ul. Opolska 2
 ADRES KORESPONDENCYJNY : skr. poczt. 76, 80-325 Gdańsk 37
 ADRES INTERNETOWY „INFORMATORA”: informator@gkf.art.pl
 STRONA GKF: www.gkf.art.pl
 REDAKCJA: Jan Plata-Przechlewski (red. naczej), Michał Szklarski (sekretarz redakcji), Krzysztof Papierkowski, Marcin Szklarski
 RYSUNKI: Marek Dąbrowski (1, 2)
 KONTO BANKOWE GKF: PKO BP I O/GDYNIA nr 52 1020 1853 0000 9902 0067 8359

Nakład 400

WYDAWNICTWO BEZPŁATNE

INFORMATOR
182

Teksty drukowane w „Informatorze” odzwierciedlają przekonania Autorów i nie zawsze pokrywają się z poglądami redakcji